



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
 Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

W L E S I E.



Jakże tu miło, uroczo,
 Powietrze wonne i świeże,
 Na drzewach ptaszki szczebioczą,
 Śląc w niebo ranne pacierze.

Tutaj się sosny rozrosły,
 Tam się brzoź bieli gromada,
 A dąb olbrzymi, wyniosły,
 Gałęzie wkoło rozkłada.

Niekiedy słońca promienie
 Przez drzew się przedrą konary,
 Rozproszą leśne pół-cienie
 Zajrzą w żarośla i jary.

A gdy kwiateczek wyrośnie
 I małą główkę podniesie,
 Słonko się śmieje radośnie
 I wnet go szuka po lesie!

I pieści drobne listeczki,
 Własnym je ciepłem ogrzewa,
 Blade zabarwia płateczki
 I znów się chowa za drzewa.

Jakiż tu spokój dokoła,
 Jakże tu błogo i miło!
 Tu zda się inny świat zgoła,
 Tu by się wiecznie marzyło...

Zdała od wrzawy i gwaru,
 Patrząc na wzniosłe drzew szczyty,
 Pod wpływem ciszy téj czarującej,
 Myśl się unosi w błękitny!

Helena Bojarska.

DZIECKO SZCZĘŚCIA.

OBRAZEK Z ŻYCIA

przez Maryą Pomorską.

(Dokończenie).

Tu gwałtowny napad kaszlu przerwał jej mowę, osłabła bardzo, i przez czas jakiś nie mogła przyjść do słowa. Jadwidze, serce boleśnie ścisnęło się na ten widok; czuła, że nie ma już dla chorąg ratunku.

— I cóż — ciągnęła ta ostatnia, odpocząwszy — cóż się z tobą dzieje? Może wyszłaś za mąż? albo też pracujesz po dawnemu?

— Dzieje mego życia z tych lat kilku są bardzo jednostajne — odrzekła Jadzia. — Zapełniłam je całe pracą i tylko pracą, stała się ona jednak słodką dla mnie i nieodbitcie do życia potrzebną. To też nie mogę na los się uskarżać, że mi najgorszą dał dołę.

Leontyna uśmiechnęła się smutnie i odrzekła:

— Masz słusność, Jadziu moja. Nie masz prawdziwego szczęścia na ziemi nad pracą i cichy spokój sumienia; potwierdzasz to najlepiej własną osobą. Oczy twoje jaśnieją takim blaskiem zadowolenia, twarz uroczystym tchnie spokojem, gdy tymczasem, spójrz na mnie...

Tu mąż jej wstał prędko i odszedł niby przypatrywać się kwiatom na klombie sąsiednim, lecz Jadwiga widziała, że to czynił dla ukrycia łez, które mu się gwałtem do oczu cisnęły. — Czym podobna do dawniej Leontyny? — ciągnęła dalej chora — a jednak miałam wszystko na zawołanie, co tylko zbytek i bogactwo dać może. Uprzedzano słowa, myśli moje. Bywały przeciw chwile, w których wszystko to budziło we mnie straszny, nieokreślony przesyt. Nie wiedziałam czasem, jak zapełnić próżnię życia i dla tego rzuciłam się w wir zabaw. Wychodząc raz z balu przeziębłam, a że tańczyłam na nim dużo, uczulam się znużoną i złamaną, jak nigdy przedtem. Za powrotem do domu, dostałam silnego zawrotu głowy, gorączki, a jednocześnie kaszel mię napadł męczący. Doktorowie już oddawna mię ostrzegali, bym się nie oddawała tak bez przerwy zabawom, mówiąc, że to źle wpłynie wkońcu na zdrowie. Co do mnie, sądziłam, że tak im się zdaje tylko, i że to nigdy nastąpić nie może. Od tego wieczoru jednak zaczęłam obawiać się trochę owych przepowiedni. Ach! nie powiedziałam ci jeszcze, że wtedy obdarzył mię Bóg już od roku prze cudnym aniołkiem. To była ukochana moja Zosia. Taka się stawała z dniem każdym roztropna i coraz śliczniejsza, że wszystkich serca pociągała ku sobie.

Tu oczy jej napełniły się nagie łzami, i znowu przestraszający Jadwigę kaszel ponowił się z całą siłą, poczem przyszło straszne osłabienie. Jadwiga tulić poczęła w objęciach chora, a szepcząc wyrazy uspokojenia, prosiła ją, by już mówić zaprzestała o tém, co ją tak boli.

— Nie, nie — zaprzeczyła stanowczo chora — pozwól mi zdjąć ten ciężar z serca, a zresztą Bóg wie, kiedy zobaczymy się znowu z sobą. Otóż w parę miesięcy po owym nieszczęsnym balu, ukochana moja pieszczotka silnej dostała szkarlatyny, i w tydzień potem Bóg ją zabrał do siebie. Od tego czasu, a rok już jak się to stało, zaczęłam i ją gasnąć powoli, to też drogi mój mąż do Włoch mię teraz wiezie i mówi, że tam wkrótce znowu wyglądać będę świeżo i wesoło jak niegdyś. Och! jakżebyśmy chciała już się tam dostać, bo czuję, że tu, tchu mi brakować zaczyna; miła nasza wiosna, której dawniej z takim upragnieniem wyglądałam, ścina mię teraz zimnem lodowem. Do Włoch, do Włoch jak najprędzej...

Jadwiga, tknięta boleśnie, odwróciła głowę, by chora łez jej nie zobaczyła. Czuła ona dobrze, że dni tej pięknej, młodej istoty, wbrew jej nadziejom, są już policzone. Wtém nadszedł i mąż, przekładając Leontynie, że już się robi chło-

dno i powóz czeka na nich u bramy. Uścisnęły się więc w milczeniu dawne koleżanki, żegnając na długo a może i na zawsze. Młodzi małżonkowie rannym pociągiem wyruszyli już mieli nazajutrz ku południowi. Jadwiga zawróciła do domu. Nie miała już dziś siły załatwiać interesów; głowa jej pękała od natłoku smutnych myśli, a blada, wymizerowana twarz Leontyny, wciąż się rysowała przed oczyma. Wieczorem, przy herbacie, matka zaniepokojona widocznym smutkiem, rozlanym na rysach Jadwigi, poczęła dobadywać się przyczyny, a ta opowiedziawszy jej o swém spotkaniu, zwiśszy głowę na zakończenie wyszeptala:

— Jakże marném jest szczęście tej ziemi!

— O tak! dziecię ukochane — rzekła matka, tuląc ją w swych objęciach na dobranoc — szczęście blasku i chwały mija prędko, kto buduje na niem życie i cele jego, stawia zamki na ruchomym piasku, a lada wiatr je rozwieje. Trwałem zaś jest to tylko, co wypływa ze spokoju czystego sumienia, bo tylko to bierze z Boga początek i w Bogu się kończy.

W kilka dni później, już o zmroku, wyszła Jadwiga odwiedzić starą, chorą przyjaciółkę matki; nagle na zakręcie ulicy stanęła olśniona masą światła, kwiatów i tłumem ludu, co się kupił za bogatą trumną, pokrytą wieńcami z konwalii i fiołków. Jadwiga stanęła, jak wryta, coś ją dziwnie tknęło; były to ulubione kwiaty „dziecka szczęścia”. Niemi stroiła ona zawsze główkę, jeszcze na szkolnych ławkach.

— Czy to być może, aby tak prędko?... — zdołała wyszeptać zaledwie, blademi ze wzruszenia usty — nie, to chyba nie ona...

A wtém wzrok jej padł na młodego mężczyznę, który idąc za trumną z wyrazem strasznej rozpacz i bólu łamał ręce bezsilnie. Wiosna śmiała się tak pięknie, stroiła tak wspaniale, budzącą się do życia przyrodę, a jeden z namiętniejszych jej kwiatów, zaledwie z pączka rozwity, miał spocząć uwiedły już wśród cienia cmentarnych krzyżów... Jadwiga, zwiśszy głowę, szła machinalnie za orszakami, i tak jak inni wyszła do kościoła.

Dawno już ucichły wszelkie w nim kroki i szepty; jedna tylko lampa bladém, niepewném światłem migoce, rzucając odcień ponury na bogato przybrany katafalk. I znów dziać kościelny pobrzękuje kluczami, a samotna postać dziewczęca kłęczy jeszcze w zadumie i korzy się w prochu przed Panem za bluźniercze szemrania na swe losy niegdyś. Teraz widzi jasno, że szczęście przepychu i chwały tej ziemi mija, jak rozkoszne senne widziadło, co z blaskami dzienami rozpływa się bez śladu, pozostawiając smutną, złamaną rzeczywistość, jeżeli jej: praca i pełnienie obowiązków nie osłodzi, a gorąca wiara i nadzieja nie dadzą potężnej dźwigni żywota — rezygnacyi.

ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M....a

(Dalszy ciąg).

Najprzód przecież jechali Krakowianie, otwierający drogę swemu jakoby panu, okrutnie strojni, aż blask od nich był w oczy, potem dopiero on sam jechał. Królewicz Zygmunt choć miał dopiero czternaście lat, był już słusznego wzrostu pięknych rysów twarzy, jechał on w zbroi, na roslym koniu, okrytym od głowy aż do ziemi fałdzistą pstrobarwną aksamitną, czyli kropierzem. Moda lat onych nakazywała, aby rycerz na swoim małym, wysokim siodełku stał raczej wyprężony, niżli siedział. Na głowie świecił Zygmuntowi hełm pozłocisty, dla ochrony od słońca i deszczu opięty barwną kitajko-

wą oponą, powiewającą z tyłu długim ogonem. Na szczycie hełmu wznosiło się olbrzymie ubranie z pawich piór, które w dwa piętra złożone wyrastały z grzebienia hełmowego, naprzód niskiem i gęstym, a wyżej rzadszem, lecz nadzwyczajnie wysokiem, falującym półkolem. U szyi wisiała niewielka, ledwie piersi zakrywająca tarcza trójkątna, zaokrąglona u dołu, przecięta w cztery pola herbowe, na których błyszcząły dwa złote czeskie lwy, naprzeciw dwóch złotych orłów brandeburskich. Lewa ręka przyciągała uzdę koniowi a prawa trzymała długi rycerski miecz. Nadto, tkwił jeszcze u pasa po prawej stronie mały kord w pochwie. Miał królewicz w takim stroju minę tak dzielną i na takiego zucha chłopaka wyglądał, że aż oczy rwały się do niego, ja zaś patrząc z blizka z pomiędzy sukman dwóch kmieci, postawionych umyślnie przedemną. Gdy ku nam zwolna na djeżdżał, gdzie stałyśmy wśród ogromnej ludu gromady, tedy na dany znak przez pana Jaśka z Dębinki, kmiecie starzy, stojący przed nami, roztapili się, i myśmy wyszły przed królewicza. Ja trzymałam oburącz na dużej misie chleb i sól, że ledwo dźwignąć mogłam, a panny Bodzianowska i Zaborzka z obu stron obok mnie, trzymały za końce dużą girlandę z róż, która mi przechodziła przez piersi i pod pachy, tak właśnie jak to się małe dzieci „na pasku” prowadzi, tak one mię prowadziły, bo też co prawda, małutka byłam wzrostem, zamała nawet na młode swoje lata. Gdy wystąpiłyśmy tak przed królewicza, a każda z panien jedną ręką mnie na girlandzie trzymając, drugą trzymała końce swęj zapaski pełnej kwiatów, tedy królewicz leciuchno a wprawnie powstrzymał konika, konik przebierał ją przesłicznie nóżkami, żując niecierpliwie wędzidło, panny z wolna sypały kwiaty na ziemię, schyliwszy zapaski, a ja oburącz podawałam misę z solą i chlebem, patrząc królewiczowi prosto w oczy, bo go okrutnie byłam ciekawa, nasłuchawszy się o nim do syta. Piękny był bo piękny i okrutnie na potęgę zuchowato wyglądał, ale mile i żwawo. Spojrzał na nas bystro i zdumiał się aż czegoś; poważny pan, jadący przy nim, coś mu szepnął.

— Witajcie w naszej ziemi, panie! — powiedziała ja, z głębokim wielkim pokłonem.

— Dziękuję ci, dobry ludu mój — powiedział królewicz, dotykając misy, którą mu podawałam, a ów pan poważny zaraz ją wziął ze wszystkiem, przyjmując za królewicza, który nie mógł przecież jęj dźwigać. Ale że powiedział owe wyrazy po naszymu, gdy wszyscy myśleli, że nie umie po polsku, więc ucieszył się lud bardzo, i zaczęto głośno z radości witać królewicza a różne okrzyki wydawać na cześć jego. On tymczasem mówił już po niemiecku do swych panów, bo jak się później okazało, nie wiele podobno po naszymu umiał chociaż rozumiał, bo uczono go przecież na przysłego króla polskiego oddawna. Mówił coś o nas, wyraźnie na nas wskazując, bo panowie i nasz pan Garbowski pomiędzy nimi śmiali się trochę; powiadano później, że pytał, czyli to wszystkie krakowskie dziewczeczki w aksamitach i jedwabiach chodzą? ale my już zrobiwszy swoje usunęłyśmy się napowrót pomiędzy uśmiechających się kmieci i skrycie patrzyłyśmy z poza nich na dalszy przejazd orszaku królewskiego. Więc pośród innych poważnych panów, ujrzałam dopiero teraz tuż przy królewiczu, trochę w tyle jadącego naszego młodego pana Zawiszę, do którego młody królewicz często zwracał mowę. Zaraz też pomyślałam, że ci dwaj panice musieli się pokochać od razu, bo obaj byli śliczni i dzielni, i mieli jednakowo po lat czternaście. A jednak dobrze spojrzawszy, łatwo spostrzegłam różnicę, bo pan Zawisza i rumaka miał ognistszego, a toczył nim od niepamiętności, jakby żartował tylko, i sam naprawdę dziesięć razy był piękniejszy; a tak jest prawdziwie i dzisiaj, każdy to przynajmniej widuje tych panów. A ja sobie już wtedy, choć mała dziewczyniutka, tak myślałam i powiadam do panien zwich:

— Ślicznyć ten królewicz, a no nie umywał się do pani-czyka Zawiszy Czarnego.

— Tst!.. — szepnęły na mnie obie panny, a tymczasem orszak przejeżdżał wciąż zwolna. Więc naprzód chmara ślicznych od złota panów, którzy przyłączyli się do królew-

czowskich, wszyscy wierzchem. Każdy rumak miał swój osobny różnobarwny a według zwyczaju bogato od złota i srebra połyskujący strój. Dalej szły luzem piękne i również strojne wierzchowce, a dalej powozy. Powozy były puste, bo tylko przesiadano się do nich w razie znużenia wielkiego lub dla niepogody i t. p., a świeciły też bogatym przyborem i różnym kształtem. Były kolebki, były i pałuby, jedne obite ćwilichem, inne różnobarwnem sukmem. Jedne były nawpół zamknięte, inne całkiem. Już to pałuby były ze wszystkim zamknięte, bo pałuby są to drewniane albo z łubu plecione domki, z oknem z jednej strony; taki domek stawiany bywa na koła, a zimną na kopanice od sarni a bywa wybity i opięty bogatemi kobiercami i wysłany mnóstwem miękkich poduszek ze złotogłowiów! I tak to jedzie!

— O, cóż to za śliczności taki domek, matusiu! — wołało Złotą pacholę, klaszcząc w ręce i podskakując na kolanach matki, jakby jechało.

— Co też to sukna musi wychodzić na obicie i obciążenie takich pałubów!.. — dziwiła się stara Jaśkowa, kręcąc głową.

— Sto kilkadziesiąt łokci! — objaśniła wszystko-wiedząca dworka synowa.

— To tam okrutny jest ciężar, taki pałub, widziałem ja to kiedyś.. — pochwalił się dziad Jaśko, że i on też coś wie.

— A koni potrzeba do tego moc, i tём gorzej, że bez dyszła to bywa często.

— Bez dyszła? i czemu? — wołano.

— Ha, snadź już tak się to robi.

IV.

Jak mała panna z Grabek, darła koty z pacholikami.

— Matko, powiadaj co dalej było, jak królewicz przejechał! — wołał chłopczyną, ściskając matkę.

— Gdy już przejechali, tedy coprędzej wróciliśmy do zamku z czekającą na nas zdaleka panią Zbrożkową.

— A potem?.. co potem było, matko? — dopytywał małe ciekawie, dla tego właśnie, że doskonale wiedział co potem było.

— Potem, po samotnym bez panów obiedzie, usiadłyśmy do haftów naokoło pani samęj, a po odrobieniu zwykłych godzin na to wyznaczonych, zeszyliśmy do sali służącej do zabawy. Pani usiadła jak zawsze w swoim krześle, panna Petronela weszła, brząkając kluczykami, za nią Kurek i Bartosz, siwi jak gołębie, wnieśli i ustawili przed panią wielką tacę z cukrami, owocami, konfektami i różnemi smażeniami delikatnego smaku, jak co wieczór o tej porze ku naszej wielkiej uciesze a sławie panny Petroneli, sławnej tych wszystkich przysmaków autorki.

— Kosztujcie, panienki, życie ma swoje gorycze, trzeba je słodzić, — mówiła wesoło dobra pani, kosztując sama i skinieniem uprzejmem wzywając panią Szlazową i Bogumiłową, i Zbrożkową. Jakaśmy tedy zabrały się do tego kosztowania, tak z kopiastęj tacy znikły jakoś przysmaki, a tymczasem kapela domowa, wyszedłszy na swój chórek, zaczęła „dziń... dziń”... stroić instrumenta, jak zwykle...

— Moja droga matuchno, a nie pamiętasz ty czasem, jakie też to były owe smażeniny na tój ogromnej tacy?.. — spytało Złote pacholę, strojąc też po swojemu figlarne minki i matce w oczy zaglądnęjąc. Starsi zaczęli się śmiać serdecznie, i chłopczyną śmiejąc się, klaszcząc w rączki, zeskokczył z kolan matki, a ona wstała, potargała go pieszczotliwie za kędzierzawę troszkę złociste włoski, poszła do skrytki w modrzewiowej ścianie i coś tam długo dosyć była zatrudniona, brząkając naczyńkami i pokrywkami tajemniczo, aż odwróciwszy się, poniosła tryumfalnie na stół nie dużą ale piękną tacę, z ułożonemi na niej ślicznie różnemi łakociami, smażeninami, pierniczkami i t. d. i rzekła z dumą:

— Oto takie same zupełnie były smażeniny na zamku; i są dotąd, i tak się podają, wiem, bom się tego wszystkiego

z rozkazu dobrej pani u panny Potroneli wyczyła; tylko bywa tam tego wszstkiego ze sto razy więcj.

— Jeszcze więcj?.. ojoj!.. Jakie to też wielkie szczęście jest w tym zamku, — dziwowało się rozkosznie Złote pacholę, siedząc teraz na kolanach babki i kosztując wraz z nią i z dziadem po odrobince każdego rodzaju łakoci.

— Ale kiedy matka nigdy nie je, a to tak cudownie smakowite!.. — zawołało nagle, uderzając piąstką w stół i łyżkę w niebieskich jak chaber oczkach zabłysły z żalu, że matka nie je tych cudowności, które sama przyrządzała corocznie z wielkimi zachodami, ku podziwowi i uznaniu wszystkich licznych sąsiadek. Bo choć miodu i owoców nikomu nie brakło, ale nie każda szlachcianka umiała owe przysmaki przyrządzać wedle dworskich sekretów, jak wtajemniczona pani Jaśkowa młodsza. Dla dziecka uciechy, pokosztowała i matka, a dziad patrząc na nią, rzecze z uśmiechem:

— Dobry strzelec nie zwykł jadać zwierzyny, którą sam upolował.

— A to dziwna rzecz! bo i panna Petronela także nie jada tych doskonałości wyborych, które sama przyrządza! Dlaczego to tak? — spytał chłopczyk.

— Moje dziecko, — odpowie babka — to widzisz tak pan Bóg daje że kto się czem bardzo zajmuje, to już ma taką wielką z tego zajęcia przyjemność, iż więcj mu nie potrzeba, chyba żeby ludzie inni tą przyjemność uculi; tak też właśnie panna Petronela i twoja matka, ponieważ wielką zręczność mają — jak samych słodyczy smakowitych urządzania, tedy już ich same jeść wcale nie potrzebują, byle tylko widziały, że ta ich praca ulubiona smakuje tym, których oni kochają.

— Matka sobie tak ot żartuje, a to prawdziwie chyba tak jest! — rzecze pani Beata, troszeczkę zdziwiona nawet, że stara matka tak to jakoś dobrze powiedziała, co ona sama czuła; i schyliła się pani Beata do matczynej ręki, ujawszy ją serdecznie i całowała, na co Złote pacholę patrzyło bardzo ciekawie i poważnie, bo z szacunku, jakim dziadowie otaczali jego matkę, powzięło dziecko przekonanie, że co ona robi to trzeba patrzeć i to naśladować. Babka pocałowała w czoło i matkę i synka zarazem, a tymczasem kosztowna ze względu na pracę zawartość owęj tacy powoli znikła, znikła, aż znikła pod wpływem zwłaszcza malutkich ale żwawych paluszków Złotego pacholęcia; a był to chłopczek zdrów, jak rydz i nikomu ani na myśl nie przyszło żeby jakiebądź słodczyce mogły mu szkodzić. Powtarzało się to zresztą prawie w każdą niedzielę i święto, wszyscy domowi przyzwyczajali się już do tego. To też każdy uśmiechnął się tylko, gdy po zniknięciu przysmaków, pieszczoch malec wpakował się samowolnie na kolana zbyt dobrej matki, objął ją oburącz za szyję i zawołał:

— Matuchno, a cóż było potem, gdy kapela zamkowa wszedłszy codziennym zwyczajem na chórek, zaczęła „dziń... dziń”... stroić instrumenty?

— Co potem było? — odrzeczce matka, targając pieszczotliwie swawolnika za złote włosów pierścienie. — Co było? wiesz ty równie dobrze, jak ja sama. My, a co prawda to ja najgłośniej, zaczęłyśmy skarżyć się przed panią, że przez tego tam królewicza niemieckiego nie mamy z kim tańczyć, gdy wszyscy dworzanie pojechali w orszaku pańskim na przyjęcie i dotąd nie wrócili, choć już był czas. Na te moje słowa, dobra pani spojrzała po starszych swoich paniach domowych, potem po papienkach, moich towarzyszkach, i wszystkie one na raz wybuchnęły śmiechem, a ja uciekłam zawstydzona za krzesło samej pani i schowałam się, ale nie tak znów bardzo się wstydząc, wyglądałam ztamtąd szparką na małych pacholików samej pani, którzy przecież z panem nie pojechali i którym to wszystko musiało dokuczyć, a tego ja właśnie pragnęłam. Bo taka była rzecz, że poprzedniego wieczoru pokłóciłam się ze wszystkimi trzema naszymi pacholikami dworskimi, z których jeden był w moim wieku, drugi miał dziesięć lat, a trzeci dwanaście. A było to tak, że przyszedł z nich do mnie jeden, prosząc w taniec, a ja powiedziałam grzecznie:

— Zaraz służę waszmości, ieno sobie warkocz zaplotę,

gdyż się rozplótł — i chyżo skryłam się między starszych a większych, z pomiędzy których wcale mię widać nie było. Wtém zoczył mię drugi pacholik, i znowu zaprosił w taniec, a ja mówię:

— Z wielką przyjemnością służyć będę waszmość panu, jeno niech sobie trzewiczek poprawię, bo mię sprzączka uwiera. — I znowu uciekłam, kryjąc się w inny kąt sali, a udając, że wychodzę dla poprawienia trzewiczka. Po chwili dostrzegł mię trzeci pacholik i znowu prosi w taniec, bo nie było drugiej takiej matęj panny na dworze, któraby malcom pacholikom przypadała do pary, a starsze panny nie chciały z nimi tańczyć, i ja nie chciałam, myśląc sobie, że ponieważ pięknie tańczę, tedy warta jestem dużego, jak się należy tancerza. Więc i trzeciemu pacholikowi odpowiedziałam z dwornością:

— Wielce pragnęłabym mieć tę przyjemność, aby z waszmością tańczyć, ale oto noga mię boli i odpocząć muszę — uciekłam znowu, wykręciwszy się na obeasie. Oczywiście wszyscy to widzieli, wszyscy zrozumieli, że ja z malcami tańczyć nie chcę i śmiano się głośno. A wtém stanął przedemną młodszy dworzanin pan Jaśko z Dębinki i poprosił w taniec, a ja poszłam. Wszyscy śmieli się, a trzej pacholiki, stojąc w kącie, pięściami ku mnie wygrażali, mówiąc w głos:

— Héj, héj, strasznie harda jest ta panna z Grabek, ejże, żeby tylko z czasem nie pożałowała, że dziś zacnymi choć niedoroślými kawalerami pomiata!

(d. c. n.)

KWIATY I OWADY.

Pogadanka naukowa.

Na wiosnę wszystko się zieleni, młoda trawka wydobywa się z ziemi, drzewa okrywają się świeżymi liśćmi, cechą wiosny jest zieloność. Lecz latem dopiero mnóstwo kwiatów jaskrawych ożywia tę jednolitą barwę wiosenną. Piękność kwiatu trwa krótko, wątle jego płateczki opadają prędko, a jednak on to stanowi najważniejszą część rośliny, gdyż wydaje owoc, nasienie. Gdzie jest obfitość kwiatów, tam zawsze brzęczą roje owadów, motyle poją się słodkim nektarem, pracowite pszczołki skrzętnie miód zbierają, w głębi każdego niemal kwiatu obaczmy jakiegoś żuczka, jakąś muszkę. Owady nosów nie mają, a jednak węch ich niezmiernie jest czuły, zdaje się, że zmysł ten, równie jak i zmysł słuchu, mieści się w ich różkach; zwabia je zatem zapach kwiatów, zwykle przyjemny, balsamiczny, a niekiedy przykry dla nas, lecz dla niektórych owadów zawsze pojętny. Są naprzykład kwiaty, wydające wstrętną woń zgniłego mięsa, ale też niemało jest owadów, które w takiem zepuszczeniu mięsie smakują i te także na owych kwiatach się sadowią.

Na tym świecie nic się nie dzieje przypadkiem, wszystkiemu rzadzi, nad wszystkiemu czuwa Opatrzność, a przypatrując się zblizka tworom Bożym, nieraz w jakimś szczególe drobnym na pozór, wykryć można ważne, głębokie znaczenie. A więc kwiaty wabią do siebie owady pięknymi barwami, przejmującą wonią, zapraszają niejako, aby je odwiedziły, gdy zaś goście ci namówić się dadzą i usadowią się w barwnym kielichu, mają tam dla nich więszą jeszcze pojętą, miód słodki. Kwiaty, o ile się zdaje przynajmniej, nie potrzebują tego miodu dla siebie, prawdopodobnie wyrabiają go jedynie dla cwarów, trzymają w pogotowiu w osobnych kryjówkach, do których owady z łatwością dobrać się mogą. Czy uważaście na płatkach lilii białej te rowki czy bruzdki, ciągnące się wzdłuż środkowego nerwu? Gdyby pszczoła na lili wiałła, do tych rowków zwróciłaby się odrazu i zapuściłaby w nie swoje trąbkę, zgadując instynktem, że tam właśnie miód się mieści, bo to są tak zwane miodniki. W innych kwiatach miodniki mają kształt odmienny, wyglądają jak łuseczki, gruczołki, narości rozmaite, lecz zawsze wydzielają płyn cukrowy, ulubione pożywienie owadów.



Róża jest najpiękniejszą z kwiatów, jelonek największy z naszych krajowych owadów...

Niedarmo to wszystko się dzieje, niedarmo kwiaty posiadają tę woń, ponętą dla owadów i ten miód, który im tak dobrze smakuje. Pomiedzy kwiatami i owadami jest wzajemna wymiana usług, jeżeli roje pszczół, żuków i motyli po-

trzebują kwiatów, to odpłacają im za to, odwiedzając się za dostarczenie słodkiego pokarmu. Ale cóż owad może uczynić dla kwiatów? O, bardzo wiele, posłuchajcie tylko. Wszak znacie zapewne firletkę białą, bardzo pospolitą na łąkach na-

szych. Czy uważaliście, że kwiat jój bywa dwojaki; niekiedy wysmukły, i wtedy, zajrzawszy do środka korony, obaczycie w niej dziesięć pręcików z woreczkami na końcu, to jest pylnikami. Niekiedy znów kwiat bywa pękaty, a ten nie ma wcale pręcików, tylko jeden słupek, rozdzielony u góry na pięć ramion, czyli szyjek. Pierwsze kwiaty, pręcikowe, nigdy nie wydają nasion, które za to zawiązują się w drugich, słupkowych, ale pod warunkiem, że pyłek, zawarty w pylnikach pręcików, dostanie się do słupka. W innych kwiatach najczęściej pręciki i słupki umieszczone są razem, w tym samym kielichu, tam pyłek życiodajny z łatwością natrafić może na słupek, gdy osypuje się z pręcików, lecz tu pręciki i słupki mieszczą się w osobnych kwiatach, a te na oddzielnych krzakach wyrastają.

A jednak wszystko odbywa się jak należy, pyłek zawsze w porę na słupki spadnie i nasionka się zawiązują. Czasem kwiatom przychodzi w pomoc wietrzyk i pyłek przenosi, lecz najczęściej podejmują się tego owady. Pszczoła lub żuczek sadowi się wygodnie w głębi kwiatu pręcikowego, szuka słodkiego soku, wysysa go chciwie, a przytém trzepoce się, kręci, otrząsa pylniki i nabiera obfitość pyłku na łapki, skrzydełka, pyszczek. Każdy owad lubi przelatywać z jednego kwiatu na drugi, więc unosi się w powietrze, a po chwili zasiada znów z kolei w koronie kwiatu słupkowego. Teraz już łatwo domyślić się, co się stanie: owad i tu trzepoce się, kręci, otrząsa z siebie pyłek i zasypuje nim słupki. Tego też i potrzeba naszej firletce, już jest spokojna o nasionka.

W pewnym ogrodzie pod Paryżem rosło ozdobne drzewko owocowe, z południowej Europy pochodzące, co rok okrywało się kwiatem, nigdy jednak nie wydawało owocu, gdyż kwiaty te, tak samo jak u naszej firletki, były rozdzielone, na owym krzaku same słupkowe wyrastały, a więc tylko w takim razie mogłyby wydać owoce, gdyby gdzie w pobliżu znajdował się drugi krzak, posiadający kwiaty odmienne, pręcikowe i pyłek z tych pręcików dostał się na słupki. Tak było przez lat wiele, aż pewnego razu właściciel ogrodu ujrzał ze zdumieniem po okwitnieniu drzewka zawiązki owocowe. Nikt nie mógł pojąć, z kąd się to wzięło, ale pytano, szukano, i w końcu wykryła się tajemnica. W innym ogrodzie dość oddalonym zasadzono niedawno drzewko podobne, które w tym roku po raz pierwszy kwiat wydało, a był to właśnie kwiat pręcikowy. Nie ulegało żadnej wąpliwości, że drzewko to przesłało owemu drugiemu odrobinę swojego pyłku; lecz jakimże niepojętym sposobem leciutki ten pyłek zdołał przebyć taką przestrzeń, przelecieć ponad murami, dachami licznych domów, ponad zakurzonym gościńcem i trafić tam, gdzie kwiaty słupkowe otwierały swoje kielichy, oddawna czekając nań daremnie? Łatwo to jednak wytłómaczyć, wiedząc o tém, że rośliny mają do takich usług małych skrzydlatych gońców. Owad jakiś, któremu sok tych kwiatów szczególnie smakował, wędrował oczywiście od jednego drzewka do drugiego, pyłek na skrzydełkach i na kosmatych łapkach przeniósł.

Często także kwiaty pręcikowe i słupkowe wyrastają razem na jednym krzaku, jak na przykład widzimy na ogórkach, dyniach, melonach. Wszystkie te rośliny mają kwiaty dwojaki, jedne okrągłe opadają i nie po nich nie zostaje, w drugich tylko, podłużnych, zawiązują się owoce. Gdyby kto jednak te pierwsze, na pozór nieużyteczne, pozrywał zaraz po rozkwitnieniu, nim usługne owady zdążą pyłek z ich pręcików poprznieść na słupki drugich kwiatów, nie miałyby z pewnością owoców.

Ale i w takich kwiatach, gdzie słupek i pręciki umieszczone są razem, w tym samym kielichu, pomoc owadów jest bardzo przydatna, gdyż ruchami swojemi ułatwiają rozsypanie pyłku. Utrzymują też niektórzy botanicy, że kwiaty nie mogą poprzestać na pyłku ze swoich własnych pręcików, potrzebują koniecznie, aby kiedyniekiedy przynajmniej dostał się na ich słupki pyłek z kwiatów tegoż samego gatunku, ale z innego krzaka. To je wzmacnia, i wydają wówczas dorodniejszy i obfitszy owoc. Zauważono na przykład, że gdy

w sadzie ustawi się kilka ulów, zaraz urodzaj owoców jest lepszy, dzięki poczciwym pszczołkom, które się pomiędzy kwiatami uwijają.

Owady mają swoje upodobania, nie na wszystkich kwiatach równie chętnie się sadowią, jedne latają w dzień, lubią jasne słoneczne promienie, inne unikają blasku i dopiero po zachodzie słońca wysuwają się ze swych kryjówek, szukając pożywienia. Są też i pewne kwiaty, które tych gości właśnie wyglądają, dla nich woń przejmującą wydają o zmroku, dla nich wśród ciemności rozchylają barwne kielichy, a przez dzień cały drzemają ze stulonymi płatkami. Owady nocne siadają zwykle na kwiatach, które się na noc otwierają. Nie raz w cieplarniach napotkać można rośliny, nie wydające nasion, chociaż kwitną pięknie, mają też pręciki i słupki razem umieszczone. Ogrodnicy radzą sobie na to, rozsypując pyłek na słupki, a można się domyślać, że gdy rośliny te są w stanie dzikim, pewne owady oddają im tę usługę. Zabierając je z ojczyzny, nie zabrano wraz z niemi owadów właściwych tej strefie, tymczasem kwiaty bez nich obejść się nie mogą, potrzebują koniecznie tych wiernych domowników do pomocy.

Wiele bardzo wiele dałoby się jeszcze opowiedzieć o tych stosunkach kwiatów z owadami, powrócimy też jeszcze do tego przedmiotu, a pisano już o nim całe tomy. Można by nieraz wyobrazić sobie, że kwiaty działają z rozmysłem, że same urządzają misterną budowę swęj korony, tak wszystko tam wybornie jest zastosowane do celu, to jest do zwabienia owadu i zapewnienia sobie jego pożytecznej, niezbędnej części pomocy. Kto obejmuje z przyrodą i wpatruje się w jej niezliczone cuda, na każdym kroku widać ślad ręki Bożej, kierującej wszystkiem na świecie, ślad Jego dobroczynnej Opatrzności.

Rysunek nasz dzisiejszy wyobraża lato, róża jest najpiękniejszym z letnich kwiatów, a jelonek, największy z naszych krajowych owadów, pojawia się w Czerwcu i Lipcu. Jest on za duży, aby mógł kwiatom służyć za gońca, a róża usług jego nie potrzebuje, gdyż róża ogrodowa, strojna, wytworna, nasion nie wydaje; pręciki jój i słupki sztuka ogrodnicza zamieniła na płatki ozdobne, to też taka róża tylko z sadzonek może być rozmnażana. Prawie wszystkie kwiaty ogrodowe są to piękne potworki, przekształcone, do niepoznania nieraz zmienione, botanik gardzi niemi, nie umieści ich w swoim zielniku, woli on szukać kwiatów dzikich po łąkach, w lasach cienistych, nad brzegami strumyków, bo tam widzi je takimi, jakimi wyszły z ręki Bożej.

M. J. Z.

POŚRÓD ŚNIEGÓW I LODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA
w krainach północnych.

W początku Czerwca chłodno było jakoś i ponuro; ja uwijałem się żwawo, ważąc i zawijając cukier licznym kupującym w sklepie naszym, to jest w sklepie pana Mata w Stockholmie. Często uderzałem się ręką po czole, mówiąc sobie z cicha:

— Zważaj, Karluś, zważaj!... żeby w pieniądzach omyłki nie było!...

Nawoływałem się tak dlatego, że czułem, jak mimo gwałtownej roboty myśl i prawie nawet przytomność odbiegały mię, a dusza odlatywała na północ, do Pitei, do „domu” gdzie ojciec mój leżał chory prawdopodobnie w tej chwili. Ta jego choroba odbierała mi rozum, wiedziałem zaś o niej jedynie od znajomego studenta, który świeżo z tamtąd przybył; matka nie donosiła nic, i dawno nie miałem już listu:

— List! list do pana Karola! — krzyknął nagle najmłodszy nasz sklepowy chłopaczek. Skoczyłem, chwytając list

i zdrząłem, bo na kopercie poznałem szwedzkie pismo matki: matka moja nie jest Polką. A więc ojciec nie mógł sam pisać...

— Idź na górę z tym listem — rzekł w tej chwili dobry pan Mat, wszedłszy do sklepu na ów krzyk naszego chłopca. Pobiegłem jak szalony, po drodze roztwierając list... Nie było wcale tak źle, jak się lękać mogłem... a jednak za chwilę stałem, patrząc w list i nie wiedząc sam, czy się cieszyć czy smucić.

„Ojciec był chory — pisała matka — teraz jest prawie zdrow, nie donosiłam wam o tym, aby próżnej nie czynić zgrzyoty, ale teraz zachodzi inna okoliczność, która mię ciężką napelniła obawą. Pan Stern-briod przybył tu nagle i przedstawił zamiar jakiegoś podróży na północne lodowate wybrzeża, w handlowych interesach spółki, a ojciec chwycił się tego i chce jechać. Podróż taka, po niedawnym chorobie zwłaszcza, może być zabójczą, a w każdym razie jest bardzo niebezpieczną. Rozmów się z Janem natychmiast i wpłynięcie z waszej strony na ojca, aby porzucił ten szalony zamiar. Nie chcę ja polepszenia bytu, byleście mi tylko wszyscy żyli zdrowi i mogli na wasze utrzymanie pracować, jak dotąd, nie chcę nic! nie chcę, aby ojciec jechał przez te straszne wertepy lapońskie i przez ten okropny Malstrom! Rozmów się z Janem jaknajprędzej”.

Z takiego listu łatwo mi było odgadnąć stan ducha mojej matki: była ona prawie w rozpacz. Po chwili namysłu zbiegłem do sklepu i czatując na sposobną chwilę, podałem list panu Matowi, gdy nie był zatrudniony z kupującymi. Bardzo to dobry człowiek, ten pan Mat; jestem u niego od czterech lat i zgrzeszyłbym, gdybym narzekał; prawda i to, że ojciec rozkazał mi tak go szanować, jak jego samego, i ja doprawdy staram się tak czynić, i o sklep dbam, jakby był własnością mego ojca. Ale też i to prawda, że ojciec musiał wiedzieć, dla czego tak mi rozkazał: pan Mat jest widać istotnie zacnym człowiekiem. Przeczytał list i rzekł:

— Ruszaj do Upsali!... Zygmunt cię tu zastąpi, wszak ty we wszystkie święta siedzisz w domu za niego. A pieniądze na kolój? na, masz!...

— Mam, mam jeszcze swoje, dziękuję! — zawołałem, wypadając już z czapką w ręce ze sklepu. O uszy obły mi się jeszcze wyrazi pana Mata:

— Słyszysz, Zygmunco?... Karol ma zawsze grosz przy duszy, choć nie więcej go dostaje, niż ty, he?...

Za cenę życia nie potrafiłbym być w owej chwili powiedzieć, która była godzina? ale czułem doskonale, że jeżeli się spóźnię, to pociąg do Upsali odjedzie. Brat mój starszy Jan, z którym kazała mi rozmówić się matka, był wówczas studentem uniwersytetu w starożytniej Upsali. W pięć kwadransy i kilka minut podałem bratu Janowi list matki. Zakłopotał się bardzo:

— Matka wszystko to najsluszniej mówi — rzekł — ale chyba bym też nie znał naszego ojca, gdybym przypuszczał, że nasze przełożenia i prośby zachwieją go w postanowieniu raz już powziętym, i to jeszcze powziętym dla naszego jedynie dobra, jak on to uważa...

Załamałem ręce, zrozumiałwszy, że Jan najzupełniejszą prawdę powiedział.

— I cóż tu teraz robić!... — zawołałem.

— Nie wiem wcale! — rzekł Jan — chyba jedno tylko: oto tak jak stoję pojedę do Gefle, wsiądę na parowiec i popłynę do Pitei, do domu, i będę wraz z matką prosił ojca, aby wyrzekł się swego zamysłu, a gdy to na nie się nie zda, jak niechybnie będzie, wtedy będę towarzyszył ojcu w tej podróży, aby miał jaką taką pomoc i opiekę. To jest jedyna rzecz do zrobienia, moim zdaniem.

Spojrzałem prosto w oczy bratu Janowi na te słowa:

— Wiesz co, mój Janie — rzekłem — że jakkolwiek rodzice kazały cię słuchać, i tyś daleko starszy odemnie, to przecież doprawdy jesteś daleko bardziej dziecinny, niż ja! Jakto? czyliż więc nie widzisz istotnie, że takim sposobem, porzucając uniwersytet i to jeszcze w tej ważnej dla studenta

chwili, zwichnałbyś całą swą profesorską przyszłość, zmarnował długie lata pracy, która ma być przecież jaką taką pomocą dla naszego młodszego rodzeństwa, i tym samym zmarnowałbyś ojca tak, że możebyś go właśnie o reedywę choroby przyprawił?...

— A więc cóż czynić? — zawołał brat Jan i zalał się łzami.

— Czekaj-no — rzekłem — ty podobno, jako uczony człowiek, obmyślasz doskonałe teorie, ale ich zastosować w praktycznym życiu nie umiesz; a cóżby też było, gdybym to ja, nie pomysłowy praktyk, podjął się wykonać na ten raz twoją teorię?... gdybym pojechał z ojcem?...

Na te moje słowa, brat Jan wytrzeszczył na mnie niebieskie wypukłe oczy tak naiwnie, aż mi się i śmiać zachciało, i żał mię zdjął zarazem, bo to jest najlepszy pod słońcem chłopak, tylko zabardzo w książkach bez żadnej miary pracuje, więc stał się do codziennego życia niepraktyczny. Z pewnością będzie z niego doskonały profesor w starożytnym Upsalskim uniwersytecie, ale butów sam sobie wyczyścić nie potrafi. Ale za to buty potrafią wyczyścić miliony ludzi, a takich uczonych ludzi, jak mój brat, jest ledwo jeden na tysiąc. Więc bardzo słusznie powinni mu inni ludzie buty czyścić, aby on za to ich oświecał w rzeczach stokroć ważniejszych, niż buty. Taki to już jest porządek na świecie, ponieważ wszystkiego nikt sam jeden na nim robić nie może; potrzeby jest zatem podział zdolności i podział pracy ku ogólnemu pożytkowi.

— A jak i ojca nie uratujesz, i sam zginiesz? ty... taki młody? — zapytał brat Jan łzami zalany.

— Słuchaj — odpowiedziałem — a jak mnie takiemu młodemu, wychodząc ztąd dachówka na głowę upadnie i zabije mnie?... albo jeśli ojciec z zawiedzionych nadziei rozchoruje się znowu, co jest bardzo prawdopodobne?...

Brat Jan popatrzył mi w oczy szeroko otwartymi oczami i nagle rzekł, odkładając swoją walizkę:

— Ależ przecież tam jest matka, która nie pozwoli ci zrobić dziecinstwa! ja zapomniałem o tym doprawdy! na, weź oto trochę grosza, mój drogi Karlusiu, ty masz zawsze słuszną, a ja niepraktyczny jestem; proszę cię, jedź prosto do portu Gefle, siądź na statek i jedź do rodziców, do Pitei, mów im co ci na myśl przyjdzie, już ja cię znam, wiem, że powiesz wszystko, co można, lepiej niż ja, dla dobra naszej rodziny. Ale słuchaj! płynąc umów się, żebyś mógł odebrać listy po drodze w którejkolwiek stacyi nadbrzeżnej, bo będzie z pewnością przesyłka do ciebie z pieniędzmi; widzisz, w tej chwili nie masz więcej nad to... wszyscy w mieście mi są winni za lekcye i za tłumaczenia, bo się nie upominałem, ale zaraz oddadzą jak powiem, że potrzebuję... no weź!...

Tak mówiąc, brat Jan podawał mi woreczek pieniędzy, z prosiącym gestem.

Nie chcę! — odpowiedziałem — wiem ja dobrze od matki, że ty dość uczynisz, jeżeli się sam o własnej sile przez uniwersytet przeprowadzisz; tedy nie myślę cię pozbawiać ciężkiego owocu pracy twojej, tym bardziej, że jeżeli i mnie i ojcu jaka tam północna dachówka na głowy upadnie, to ty jeden zostaniesz opiekunem matki i rodzeństwa, czemubym ja z pewnością nie podolał; zatem szanuj siebie i pracę swoją!...

Tyle powiedziawszy, a prawie nie zastanawiając się nad tem, co czynię, pożegnałem rozplakanego brata, dostałem się na dworzec kolejowy i dopiero w wagonie zacząłem myśleć nad czynem swoim. Jechałem teraz z Upsali do Gefle, to jest zawsze ku północy, zawsze w stronę „domu”. Po krótkiej chwili namysłu, ułożyłem bez żadnej trudności list do pana Mata. Opisałem mu w najprostszych wyrazach położenie swoje obecne. A to dla takiego jak on człowieka było dosyć. Ołówkiem napisawszy w wagonie list ten odesłałem do pana Mata natychmiast, jak tylko stanąłem w Gefle. Byłem poraz pierwszy w życiu zostawiony zupełnie sam sobie. W Gefle nawet nie byłem nigdy, bo przed czterema laty jadąc tą drogą z ojcem, nie wstępowałyśmy tu, lecz płynęliśmy prosto do Stockholmu.

Gdybym miał umysł swobodniejszy, byłbym pewno nie umiał dać sobie rady, albo przynajmniej nakłopotałbym się niemało, ale ja byłem taki wzruszony, że prawie nie wiedziałem, co czyniłem, mając tylko na myśli, aby copędzej zająć miejsce na statku, płynącym na północ. Nie wiem i nic mię to nie obchodziło, co myśleli o mnie ludzie, gdy jak szalony biegałem tu i tam w przystani, ale to wiem, że bardzo prędko dostałem się na parowiec, który wyruszał w drogę w tejże chwili. Pamiętam, że z wielkiem zadowoleniem zobaczyłem, iż lekko zraniłem rękę przy tém forsowném zdobywaniu miejsca na parowcu: jakgdybym był rodowitym Szwedem, ucieszyłem się przesądnie z tego, że tak w sam czas trafiłem na ów odpływający statek; było to niby dobrą przepowiednią.

Söderham przemknęło się koło nas, później zdawało mi się, że poznaję widziane w poprzedniej z ojcem podróży przeszliczne Sundswall w głębi pięknego portu, pełnego statków, i rzekę, która zdaleka zdaje się zapchana ogromnemi stosami wielkich kłód drzewa, bo tu handel drzewem jest głównym... a wtém zbudzono mię, wzywając, abym schronił się do właściwego na spoczynek zakąta, bo spać w kącie jadalnej sali jest najwyższą nieprzyzwoitością, zwłaszcza wobec dam, i to na statku tak wykwiutnym jak „Piękna Szwedka”. Wzruszyłem tylko ramionami na te wszystkie dzieciństwa, i powlokłem się z trudnością tam, gdzie mię zaprowadzono, do małej komóreczki, nazwanej szumnie kajutą, i upadłszy, nie wiedząc sam gdzie, zasnąłem znowu. Zapewne 20 godzin poprzedniego utrudzenia teraz dawało mi się we znaki. Byłem nadzwyczaj znużony. Mimo to jednak nawet w owęj chwili jeszcze przycisnąłem ręce do piersi, na których miałem w płaskim skórkowym woreczku, na tasie mce, wszystkie moje pieniądze, i lepij zapiąłem surducik, w którego wewnętrznej kieszeni, także na piersiach, miałem w pugilaresie moje koniecznie potrzebne papiery. Nosilem ja to wszystko zazwyczaj tak przy sobie, bo u pana Mata nie miałem gdzie tego schować, spijając w ciasnocie wśród tuzina chłopaków, którzy własne papiery zatracali niechcący, a zatém i moje nie były bezpieczne wśród tych trzpiotów. Teraz ten mój zwyczaj przydał mi się, bo przez to jedynie mogłem puścić się w dalszą drogę wprost z Upsali, nie wracając do pana Mata.

Gdy obudziłem się, ujrzałem i usłyszałem śpiących i chrapiących głośno dwóch jeszcze ludzi w owęj kajucie, podobnej do ciasnego wyjątkowo a brudnego kurnika. Pieniądze i pugilares były na swoim miejscu, ale kości moje bolały, jakby właśnie powychodziły z miejsc im właściwych. Oczywiście pochodziło to z niewygodnego we śnie położenia. Wyciągałem ręce i nogi i poprawiwszy ubranie, wybiegłem na pokład, i osłupiałem: „Piękna Szwedka stała nieruchoma, mgła gęsta otaczała ją, otoczyła i mię natychmiast niby brudnym obłokiem, poczułem ją nawet w płucach. Byliśmy uwięzieni we mgle: latarnie najbliższe mnie błyszczały, jak świeczki blade, innych nie widać było wcale, a pozapalano wszystkie, jakie były, aby dać znać o naszym stanowisku, gdyby kto na „Piękną Szwedkę” napływał, nie widząc jej. Znałem ja te mgły, utrudniające żeglugę w Botnickiej zatoce. Załamałem więc tylko ręce w milczeniu; wtém ktoś przechodząc w pobliżu zajrzał mi w oczy, był to kapitan:

— A co, moja młoda foko — rzekł — pośpieszamy, jak uważasz... otóż to tak bywa zawsze z ludzkiemi pośpiechami, młoda foko! powiadam tobie, nigdy w życiu nie śpiesz, tylko czasu nie trać, wtedy bezpieczniej i cało przepłyniesz życia głębin! — mówiąc to szorstko lecz życzliwie, stary ten

kapitan wskazywał mi moją skaleczoną rękę, i poszedł dalej w otchłań mgły. Podobno moim wczorajszym pośpiechem zwróciłem wszystkie oczy na siebie, a teraz stałem bezradny, otóż to tak bywa z ludzkiemi pośpiechami; miał kapitan słusność. Wsunąłem się do najbliższej tak zwanęj sali, gdzie było już kilkoro ludzi, wtuliłem się w róg kanapy i ścisnąwszy głowę rękami, wspartemi na kolanach, rozmyślałem, co będzie, jeżeli mgła potrwa i ojciec tymczasem pojedzie?... —

Nic nie będzie! — odpowiedziałem sam sobie po drugim namyśle — czy sądzisz, ty niemądry Karolusiu, ty cielu morskie, że twoja osobistość i obecność istotnie tak wiele znaczy, aby od niej zależały losy twęj rodziny? ty znacysz i możesz conajmniej tyle, co jedna młoda niedołączna foko, a nawet mniej, bo ty głupiec jesteś, a tego o żadnem zwierzęciu powiedzieć nie można, gdyż każde ma dość dla siebie rozumu, ten grubijanin kapitan nie ubliża ci wcale, gdy cię nazywa młodem cielućciem.

(d. c. n.)

SZARADA.

(Dla p. Niemojowskiego od Iskierki).

*Pierwsze i drugie sny gorączkowe,
Trzecie i pierwsze jest zwierzę płowe,
Trzecie w muzyce samo znajdzie snadnie,
Wszystko me imię, może kto odgadnie?*

Łamigłówka zgłoskowa.

(Od Kalinki dla Prymulki różowej).

Z następujących zgłosek: cio—oki—dyk—es—tu—m—raz—sa—tka—twi—wi—za—zell — ułożyć wyrazy: 1. Przy słówek. 2. Krewna. 3. Nazwa kilku miejscowości w Niemczech. 4. Wehikuł. 5. Nuta muzyczna. 6. Ptak domowy. 7. Poeta polski. Ostatnie litery, odczytane od góry do dołu, utworzą nazwisko poety polskiego, początkowe, od dołu do góry, jego powołanie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 27-go.

Z a g a d k i:

Bažant.

Czarodziejskiej sztuczki:

Odjąć litery, z których się utworzą wyrazy: *lra*, *sa* i *wał*, a zostanie Anna.

TREŚĆ: W lesie wierszyk p. Helenę Bojarską. — Dziecko szczęścia p. Maryą Pomorską. — Złote pachole, powieść z dawnych czasów p. M...a. — Kwiaty i owady, pogadanka naukowa M. J. Z. (z drzew.) — Pośród śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych. — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Łalka Maryni (z drzew.) — N... żywe ptaszki wierszyk Ludwika Niemojowskiego. — Niezgodni królewicze, bajka prawdą przeplatana. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach.

LALKA MARYNI.

Marynia dostała od babuni na wiazanie przesliczną lalkę, bardzo strojnie ubraną. Lalka ta miała suknię różową jedwabną z podpięciem, szarfę szeroką w kwiaty, ze złotą frenzlą, żabot koronkowy, na głowie kapelusz z kwiatami, a na nóżkach prawdziwe pończoszki i pantofelki na koreczkach. Nigdy jeszcze Marynia nie miała takiej pysznej lalki, ucieszyła się też niezmiernie i dziękowała serdecznie dobrej babci.

smaczków, a nawet troszeczkę konfitur, dziewczynki nakładały to wszystko na małe talerzyki i wybornie się bawiły. Lalkę posadziły na pierwszym miejscu i dawały jej kosztować to z jednego, to z drugiego talerzyka małą łyżeczką.

— Konfitur jej nie dawaj — mówiła Henia do Maryni — żeby się suknia nie poplamiła. Od konfitur to takie okropne plamy.

— Ja ostrożnie podam — odpowiedziała Marynia — jakżeż można nie dać jej konfitur, kiedy to najlepsze.

Raz jeden i drugi udało się jakoś, ale za trzecim ra-



Wybrała muslin w kolorowe kwiaty i pilnie zabrała się do roboty.

Po obiedzie przyszły dwie przyjaciółki Maryni, grzeszne bardzo dziewczynki, Lunia i Henia, oglądały lalczkę z zachwyceniem, obie przyznały, że jeszcze tak pięknej nie widziały. Marynia nie mogła tylko wymyślić dla niej imienia, wszystkie imiona zdawały jej się niedość ładne dla takiej paradnej lalki. Wujaszek radził, żeby ją nazwać Prozerpiną, albo Agrypiną, ale panienkom nie podobały się i te nazwy, chociaż naprawdę niepospolite. Odłożono więc chrzciny lalki na później, a tymczasem wyprawiono balik.

Marynia umiała doskonale balik urządzać i miała do tego śliczne gospodarstwo. Mama dała różnych przy-

zem Lunia przypadkiem trąciła Marynię w łokieć i ogromna kropla syropu malinowego spadła na piękną suknię różową lalki. Marynia aż krzyknęła z przerażenia, mama nadbiegła z drugiego pokoju, bo myślała, że się którejś z dziewczynek co złego stało, zaraz plamę zmyła benzyną, ale ślad jednak został, bo taka jasno-różowa materyja jedwabna łatwo bardzo się plami.

Biedna Marynia była bardzo zmartwiona, nie chciała już nawet balikiem się bawić, Henia i Lunia ją pocieszały, mówiły, że może plamka zniknie pomaleńku, może już jutro nic widać nie będzie. Mama najlepiej poradziła, przypięła szarfę z boku, tak, że koniec oszyty frenzlą

zupełnie zakrył płamę i naprawdę nic już widać nie było.

Ale na drugi dzień daleko gorszy wypadek zdarzył się lalce; Marynia wyniosła ją do ogrodu i posadziła ostrożnie na krzaku róży. Bardzo ładnie wyglądała śliczna suknia różowa pośród zielonych liści, Marynia odeszła troszkę, patrzyła na swoją lalkę i myślała, że najlepiej ją będzie nazwać Rozamundą, albo Rozalindą, może zresztą i Rozyną, bo i to ładne imię, chociaż nie tak wyszukane. Postanowiła jednak poczekać z tém na Henię i Lunię i ich się jeszcze poradzić.

A wtém pokazał się pies Neron i obaczywszy Marynię, przybiegł się z nią przywitać. Potém spojrział na lalkę, usadowioną na gałęziach róży i zaszczekał głośno. Marynię strach ogarnął, żeby czasem Neron nie zrobił co złego laleczce, podbiegła i chwyciła ją na ręce, ale przez pośpiech szarpnęła sukienkę, uczepioną do gałęzi i rozdarła ją okropnie od góry do dołu.

Biedna dziewczynka rozplakała się rzewnymi łzami i pobiegła z lalką do mamy; mama zdjęła piękną suknię różową, ponaprawiała ją i zeszyła jak było można, lecz już nie wyglądała tak ładnie, bo trzeba ją było zwięzić, a w jedném miejscu zszyć w poprzek, więc i skróciła się trochę.

Ale taka to już z tą lalką była bieda, że trzeciego dnia jeszcze okropniejsze przytrafiło się jój nieszczęście. Położyła ją Marynia na stole w jadalnym pokoju, gdzie zastawiono właśnie podwieczorek dla dzieci. Józio malutki jój braciszek, siedząc na wysokiem krzesełku, wyciągnął rączkę po kubek z mlekiem, i przypadkiem go wywrócił. Struga mleka pociekła prosto na lalkę, oblała całą suknię tak, że na nic się popsowała. Niepodobna było delikatnej materji odczyścić, wyglądała, jak ściereczka.

Marynia nie gniewała się na braciszka, bo wiedziała, że on tego nie zrobił naumyślnie, ale żal jój było bardzo lalki.

— Do czego ona teraz będzie podobna — mówiła, zanosząc się od płaczu — tę suknię zdjąć z niej trzeba, bo jest okropna, a innéj niema. Boże mój Boże! Co ja pocznę z tą lalką! trzeba ją schować do szuflady, bo pa-trzeć na nią nie mogę. Taka była paradna, a teraz jak żebraczka jaka wygląda.

— Moja Maryniu — rzekła mama — ja ci dam sposób na to, uszyj lalce nową sukienkę. Mam w szufladzie różne gałganki, wybierz z nich co chcesz, ja ci skroję i pokażę, zobaczysz, jak ci będzie przyjemnie, gdy ustroisz laleczkę w swoją własną robotę.

— Ale czy ja potrafię, mamuniu?

— Czemuż nie potrafisz, ja ci wszystko pokraję, sfastryguję, a szyć przecież umiesz.

Marynia zapomniała zupełnie o swoim strapieniu, gdy mama otworzyła szufladę, w której było mnóstwo gałganków rozmaitych kolorów. Wybrała śliczny muślin w różnokolorowe kwiaty, powiedziała, że to będzie daleko stosowniejsze na lato od jedwabnej materji i pilnie zabrała się do roboty. Na drugi dzień sukienka była skończona, mama ułożyła sama podpięcie i dała kawałek koronki do oszycia szarfy. Przekonała się Marynia, że mama dobrze mówiła: wielką jój to przyjemność sprawiło, gdy ubrała lalkę, w tę własną swoją robotę.

Potém Marynia uszyła jeszcze drugą sukienkę kreto-nową na zmianę i kilka fartuszków, żeby się tak lalka nie brudziła, a tak tę robotę polubiła, że i dla lalek Luni i Heni szyła sukienki. Gdy podrosła, nauczyła się sama krajać i fastrygować. Dziś Marynia jest już dużą panienką i lalką się nie bawi, ale wszystkie młodsze dziewczynki udają się do niej, gdy potrzebują swoje lalki oporządzić, ona im chętnie pomaga. Ale Marynia szyje także sukienki dla ubogich dzieci, a taką ma wprawę, że nieraz z jakiejś staréj, niepotrzebnéj szmatki, wykroi bardzo dobry kaftaniczek, lub fartuszek.

Wszystkie panienki powinnyby zawsze swoje lalki same obszywać, przekonałyby się, że to daleko przyjemniej, niż stroić je w gotowe, paradne suknie. Przytém wyuczyłyby się szyć, a to rzecz bardzo pożyteczna dla każdéj panienki, i bogatéj, i ubogitéj.

NIEZYWE PTASZKI.

Kmieć niosąc z targu mnóstwo przepiórek, Których nie sprzedał, stanął gdzie murek Był sadu. W sadzie, pod drzew osłoną, Mała panienka chodziła z boną.

— Panienko, kupcie mój towar proszę, Bo się z nim cały dzień próżno noszę, Rzekł kmieć, a ona odpowie na to:

— Chociaż nie jestem w pieniądź bogatą, Chętniebym ptaszki te nieszczęśliwe Kupiła, ale one nie żywe, Więc gdy ich puścić nie mogę w pole, Grosz'mój dla biednych zachować wolę.

Ludwik Niemojowski.

NIEZGODNI KRÓLEWICZE.

BAJKA PRAWDĄ PRZEPLATANA.

(Dalszy ciąg).

Mówiąc to, mistrz Abrakadabrus zajadał ochoczo jarzynki, gotowane, smażone, z rozmaitemi smakowitemi przyprawami przyrządzane i popijał winem. Nabierając na talerz kalafiorów, suto oblanych masłem z tartą bułeczką, uśmiechnął się znnowy troszkę złośliwie i rzekł:

— Mówiłeś, miłościwy królewiczu, że żadnych zapasów żywności nie zapożyczasz dla siebie od królewicza Pióropuszka. Czyżby to dla mnie naumyślnie to masło ko było sprowadzone?

— Wcale nie — odrzekł Zielonko — ja mam swoje własne masło i niczyjéj łaski nie potrzebuję.

— Aa! no, patrzajcie, miłościwy królewiczu, a toż mnie już na starość zupełnie pamięć opuszcza. Zapomniałem, i o drzewie krowiem, i o drzewie maślaném. Nie myśl jednak, żebym o tém nie wiedział, na dowód powiem ci, że drzewo maślane musiałeś sprowadzić z Afryki środkowéj, nieprawdaż?

— Rozumie się. Oho! gdzieśbyś to ty, mistrzu, czegoś nie wiedział. Wiesz także pewnie doskonale, jakim sposobem masło się otrzymuje z tego drzewa?

— Wiem, wiem, nie złapiasz mię na takiej niewiadomości, miłościwy królewiczu — mówił Abrakadabrus, śmiejąc się — a chcesz mię, jak widzę, wziąć na egzamin. Opowiem ci więc, że to drzewo jest dość podobne do dębu, a masło nie wycieka z niego, jak owo mleko, lecz wytłacza się z owoców, które przypominają znów oliwki. Ale i pień ma swoją wartość, o czém może nie wiedziałeś, za nacięciem sączy ciecz gęstą, klejką...

— Kauczuk, wyborny kauczuk! wiem o tém bardzo dobrze — przerwał królewiczu — bo my tu dużo kauczuku używamy. Npierw ubiory moje i moich dworzan, bardzo wygodne i przyjemne na lato, w zimie są mniej stosowne. Chłód wprawdzie nie dokucza nam nigdy, możemy się obejść bez futer Pióropuszka, mamy dostatek waty. Ale jak wilgoć na dworze, to zawsze bezpieczniej mieć kauczukowe okrycia, a i obuwie z kauczuku bardzo jest dobre na zimę, latem tylko za gorące.

— Tak, tak — mówił Abrakadabrus, kiwając głową — wolę ja jednak porządne buty skórzane, bo mi służą, i na zimę, i na lato. Ale późno już, miłościwy królewiczu, a ja znużony jestem podróżą. Racz wydać rozkazy, aby mię odprowadzono do przeznaczonego dla mnie pokoju.

— Ależ ja sam cię odprowadzę do twojej sypialni, kochany mistrzu, kazałem dla ciebie najpiękniejszy pokój przygotować.

Przechodzili przez salę jadalną, służba sprzątała jeszcze po wieczerzy, układając w pięknych szafach naczynia stołowe. Abrakadabrus zatrzymał się na chwilę z ciekawością przyglądał się półmiskom, wazom, talerzom, a także i łyżkom, używanym u królewicza Zielonki. Wszystko to było po większej części z twardego, pięknego drzewa wyrobione, rzeźbione bardzo ozdobnie, wyglądało też wcale ładnie, lecz Abrakadabrus pomyślał sobie, że musiało być nadzwyczaj nietrwałe. Noże drewniane wystarczały wprawdzie do krajania miękkich jarzynek i owoców, ale do pieczeni lub pieczystego na nicby się nie zdały.

Były tam także naczynia z masy papierowej, ogładzone i powleczone jakimś błyszczącym pokostem, te nawet lepsze i mocniejsze musiały być od drewnianych, niektóre zaś, białe, twarde, pięknie polerowane, wyglądały tak zupełnie jak kość słoniowa. Byłoby to trochę dziwne, gdyby królewiczu Zielonko, nie chcąc bez koniecznej potrzeby używać minerałów brata Kryształka, posiadał za te naczynia z kości słoniowej, oczywiście należąc do królestwa zwierząt, a więc do królewicza Pióropuszka. Ale nasz Abrakadabrus tylko spojrział i poznał zaraz, że to kość słoniowa roślinna, wiedział on o roślinie, zwanój słonioroślą, która wydaje ziarna duże, twarde i białe, zupełnie do słoniowej kości podobne. Słoniorośl pochodzi z gorących krajów, ale królewiczu Zielonko hodował rośliny wszelkich klimatów w bogatych swoich cieplarniach.

Sypialnia Abrakadabrusa bardzo była wygodna, tylko mięciuteńkie, materaców włosianych i poduszek pierza nie było wprawdzie na niem, ale tyle tam wszędy nałożono waty świeżuteńkiej, że mistrz doskonale się

wyspał, a nawet zbudziwszy się rano, miał wielką ochotę poleżeć jeszcze troszkę. Przypomniał sobie jednak, że musi śpieszyć do królewicza Pióropuszka, aby i jego do zgody skłonić, a potem wracać z pomyślną wieścią na dwór króla Dobromira. Wiedział, że królowny, miłe jego uczennice, wyglądają go tam niecierpliwie.

Zerwał się więc żwawo z wygodnego łóżka, ubrał się i cichuteńko poszedł wyszukać swego muła, a upakowawszy tłómoczek, wymknął się niepostrzeżony z pałacu. Królewiczu Zielonko miał nadzieję, że mistrz parę dni u niego zabawi, zdziwił się nieprzyjemnie gdy zastał sypialnię pustą, szukał wszędzie gościa po ogrodach, cieplarniach, szukała go cała służba, ale Abrakadabrus był już tymczasem na pół drogi do rezydencji królewicza Pióropuszka.

(d. c. n.)

Łamigłówka w kwadraciku.

W kwadraciku z 9 podziałek ułożyć z A—3 E—2 L—2 W — aby odczytać w obu kierunkach. 1. Spójnik. 2. Król zwierząt. 3. Imię biblijne.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 27-go.

Łamigłówki zgłoskowej:

Starodub — Trębowlia — Erfurt — Ferro — Adur — Nancy.
Stefan — Batory.

Skrzynka do listów.

Induktor Rhumkorffa uważnie, jak widzimy, czytuje Skrzynkę do listów, nie spostrzegł jednak tego, co często korespondentom naszym powtarzamy, że nie przyjmujemy żadnych powiastek tłómaczonych z obcych języków, gdyż mamy do tego współpracowników stałych. Nadesłana powiastka, która nam na nic przydać się nie może, tak list obciążyla, że trzeba było dopłacić do niego 13 kopiejek. Niechże Induktor na drugi raz pamięta, że ilość marek powinna być zastosowana do grubości listu. A jaki ciekawy ten Induktor! ponieważ jednak zapytania jego nie tyczą się tajemnic stanu, więc możemy wyjaśnić, że wiadomy młodzieniec obrał sobie pseudonym Okularnika, Sokół zaś z pod Wawelu ma imię Marcelli. Zagadki wydrukujemy, o ile miejsce się znajdzie.

Cyganeczce z nad Horynia wysłano żądany Nr powtórnie, a Sroczce donosimy, że zadania konikowe nie jest podług prawideł ułożone, gdyż zgłoski powinny następować po sobie w takich odstępach, jak skoki konika na szachownicy. Co do łamigłówki, jeżeli będzie miejsce, wydrukujemy ją chętnie, ale z tym brakiem miejsca to straszny kłopot.

Grzechotnikowi także nie możemy obiecywać, czy łamigłówkę jego wydrukujemy, tém bardziej, że już podobne zagadki kilka razy były zamieszczane.

Pióropuszek zapewne na cześć jednego z niezgodnych królewiczów obrał sobie ten pseudonym. Ofiara zapisana jest niżej. Jeżeli jegomość, wymalowany w nagłówku liściku, ma przedstawiać królewicza Pióropuszka, to niewłaściwie pali fajkę, bo tytuń to przecież produkt roślinny.

Muszka zapytuje, czy jej wypracowania są dobre. Jeżeli tylko zasłużyły na wzmiankę, to dowód oczywisty, że są zaliczone do dobrych; pomimo to, musi się znaleźć zawsze jedno tylko najlepsze. Z liściku jednak widzimy, że kochana Muszka jest na to

wyrozumiała, i nie wymaga, jak inne panienki, aby redakcja, zapowiedziawszy jedną nagrodę, rozdała ich kilkanaście lub więcej. Zagadkę wydrukujemy, jak tylko można najprędzej, bo jest dowcipna.

Krakowianin odgadł prawdziwe nazwisko Iskierki, co zresztą nie było zbyt trudne, po odczytaniu jej liściku. Iskierka wyjechała na lato gdzieś daleko, adresu jej nie mamy w tej chwili.

Kamelii różowej donosimy, że Pokrzywa nie zmieniła pseudonymu, dawno się tylko nie odzywała. Cieszymy się, że nowy konkurs podobał się kochanej Kamelii i radziłyśmy, aby jaknajwięcej panienek udział w nim wzięło, ubodzy zyskaliby na tém. Żądana wiadomość przesłano poeztą.

Różyczka z Odessy prosi, aby jej łamigłówki były wydrukowane w N-rze czerwcowym, ależ to niepodobna, kochana Różyczko, bo każdy Nr pisma musi być wcześniej przygotowany do druku, aby w porę doszedł rąk czytelników; w wigilją dnia, w którym ma się ukazać, nie można już nic do niego dodawać.

Pszczółka litewska powinna bardzo kochać tę dobrą babunię, która uprzedza jej życzenia i pamiętała, aby jej nie zabrakło „Wieczorów” na czas wakacyj. A pracowiłaż to musi być Pszczółka, stosująca się do swego pseudonymu, skoro babcia wybrała na podarunek dla niej maszynkę do szycia. Robótkę na konkurs może Pszczółka uszyć na tej maszynie, byle to była własna praca, bez niczyjej pomocy wykonana. Jakaż to szkoda, że ten śliczny bukiet róż nie mógł naprawdę przyjechać razem z liścikiem do naszej redakcyi!

Papa wybrał sobie pseudonym niezwykle, troszkę nawet zaudatno oryginalny, radziłyśmy obmyśleć coś stosowniejszego dla młodzieńca, który, sądząc z listu, rzeczywiście dużo musi mieć przmiotów wspólnych z Induktorem Rhumkorffa, nawet i charakter pisma zdradza podobieństwo usposobienia obu. Mamy tam całą gromadkę korespondentów i przyjaciół serdecznych w starym grodzie Krakusa, cieszymy się, że nam przybył jeszcze jeden.

Piosenka wspomina o 20 kop. na kolonie letnie, lecz nie znaleźliśmy ich w liściku. Właśnie jakby w odpowiedzi na zapytanie Piosenki podana była w ostatnich N-rach „Wieczorów” Medyjka, a i powieść historyczna już się rozpoczęła. Zadanie konikowe dobrze ułożone, ale do wierszyku trzeba dodać nazwisko autora, nie możemy go sobie przypomnieć.

Gwiazdce z Czerwonej Rusi dziękujemy serdecznie, że nawet w czasie egzaminów znalazła chwileczkę na napisanie liściku. Nowy konkurs powinienby się wszystkim panienkom podobać, tym razem jednak Kazie nie może być sędzią, panie, znające się na takich robotach, podjęły się wybrać najlepsze i wyznaczyć nagrody.

Maryjce Z. w Cieplicach. Liścik nie jest wcale śmieszny, ani bez sensu, a i kaligrafia niezła, chociaż piękną nazwać jej nie można. Ale to bardzo dobrze, że Maryjka nie udaje dorosłej osoby i nie sili się na pisanie drobnym maczkiem, tylko poprostu duże literki w dwóch liniach stawia. Tym sposobem nabierze z pewnością wprawy i dobrze pisać będzie. Teplitz jest to nazwa niemieckiej miejscowości, która się po czesku i po polsku nazywa Cieplice. Droga przez Szląsk i Saksonię jest bardzo piękna, znamy ją dobrze, o opis Cieplic prosimy. Oby te kąpiele jaknajprędzej zdrowie mamie przywróciły.

Ukraince na Mazowszu ze wstydem wielkim wyznać musimy, że jej szarady, o ile sobie przypominamy bardzo dowcipne, dla tego dotąd nie były drukowane, że wśród mnóstwa innych gdzieś zaginęły. Gdyby kochana Ukrainka, chciała je wypisać po raz drugi i przysłać, byłyby już natychmiast zamieszczone.

Kalinę przepraszamy bardzo za łamigłówki, jeżeli się okazały bez omyłek, czego już teraz przypomnieć sobie nie możemy, to muszą być odłożone wraz z innymi, przeznaczonymi do druku i ukazać się z czasem.

Dzierlatka z nad Wisły trafnie odgadła łamigłówkę.

Makolągwę prosimy o cierpliwość, łamigłówka dobra, ale nie zaraz może być wydrukowana.

Okularnikowi przesyła ukłony grzechotnik.

„Kochana Akacyo i Różo Dzika! Bardzo was przepraszam, że na wasze uprzejme liściki tak długo nie odpisywałam; cieszę się

że mój pseudonym tak was zaciekał, domyślał się po trochu, dlaczego; oto zapewne, tak samo jak i ja, lubicie ten smaczny owoc, więc dla tego wam się spodobał pseudonym. Chciałabym jeszcze coś więcej napisać, ale rada nie rada muszę na tem poprzestać, bo wiem że redakcja nie może długich liścików drukować, a wielka to szkoda nieprawdaż? Całuję was serdecznie, Wisienka.”

„Kochana Gwiazdka z Czerwonej Rusi! Serdecznie ci dziękuję za pamięć. Bardzo żałuję, że mojami jagódkami nie będę mogła z kochaną Gwiazdeczką się podzielić. Całuję cię tysiąc trzydzięści razy, twoja Wisienka.”

„Kochany Zawierucho! Bardzo ci dziękuję za łamigłówkę, która była prawdziwą dla mnie niespodzianką, ale donieś mi proszę, gdzie mieszkasz i jak się nazywasz. Z pseudonymu wnoszę, że musisz być ogromnie żywy i proszę, jeżeli kiedy zerwiesz się w tych stronach, oszczędzaj mnie, bo bardzo się obawiam o moje gałązki. Życzliwa Wisienka.”

Induktorowi Rhumkorffa przesyła pozdrowienie zamieszkały także pod Wawelem „Papa” uwiadamia, że jeśli sobie życzy go poznać, mogą się spotkać w każdą środę o godz. 7 wieczorem na plantach pod Kapucynami. Niech mu Induktor wyperswaduje, aby sobie ładniejszy pseudonym wybrał.

Na kolonie letnie złożyli: Srocza z nad Bystrzycy 30 kop. — Polna Róża z Mokotowa 85 kop. — Helenka S. z Libawy 15 kop. — Mewa z nad Baltyku z siostrzyczką rs. 2 — Słomka rs. 1 — Prymulka biała rs. 1 — Stokrotka z nad Granicy z siostrzyczką 30 kop. — Piguleczka 35 kop. — Czarnulka 20 centów — Skowronek, Słowik i Jaskółka z nad Zbrucza rs. 1 kop. 50 — Chmurka z siostrzyczkami 25 kop. — Muszelka z nad Bohu z siostrzyczką rs. 1 — Zygmunt S. od K. S. i A. S. kop. 56 — Turkawka z nad Bystrzycy 49 kop. — Świtezianka 14 kop. — Turkawka rs. 2 — Perełka kop. 30 — Wiosenka kop. 50 — Latawiec kop. 50 — Różyczka biała z Wołynia rs. 1 — Okularnik rs. 1 — Janka i Irenka G. rs. 1.

Na kościół praski Szczebiotka rs. 2. — W-ny Kątkowski rs. 1.

ZAKŁAD NAUKOWY ŻEŃSKI Leonii Rudzkiej.

dawniej Herman.

Przyjmuje uczennice stałe i przychodnie, prócz nauki zapęwnia uczennicom opiekę i konwersacyą obcych języków.

Zapis uczennice trwać będzie do 3 Lipca przy ul. Wielkiej Nr. 64. Od 20 Sierpnia przy ul. Zielnej Nr. 7 i Wielkiej 42.

Numer 13-ty.

PRZEGLĄDU PEDAGOGICZNEGO,

CZASOPISMA, POŚWIĘCONEGO SPRAWOM WYCHOWANIA SZKOLNEGO I DOMOWEGO WYSZEDŁ I ZAWIERA :

1. **Wakacye.** Dbałość o zdrowie, przygotowanie do egzaminów powakacyjnych, przeciwdziałanie złym wpływom na pojęcie i charakter młodzieży, obznajmienie z praktyczną stroną życia, czytanie wakacyjne, przez *Floryjana Zagowskiego*. 2. **Z wycieczki** w celu zwiedzenia zakładów profesyjnych, p. *J. Kühna*. 3. **Wskazówki metodyczne do nauczania początków gramatyki języka polskiego**, przez *Henryka Wernica* (ciąg dalszy). 4. **Program postępu** żen psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem, od urodzenia do 20 roku życia, przez *J. Wł. Dawida* (ciąg dalszy). 5. **Korespondencya z Krakowa**. 6. **Nauka o rzeczach** (Wyjątek z dzieła D-ra Gabriela Compayré pod tytułem: Cours de Pédagogie théorique, tłum z franc. 7. **Krytyka i bibliografija**: I. E. Taylor. Zmysłność i moralność roślin. Przekład J. K. Potockiego, ocenił *St. Kosiński*. Przegląd literatury zagranicznej, p. *J. P.*

DODATEK: Zadania na ułamki *S. Dickstejna*, dokończenie.